

OBJAWIAĆ OSOBĘ ...  
KAROL WOJTYŁA: ETYK WŚRÓD ETYKÓW  
URZECZONYCH OSOBĄ  
(Mistrz widziany oczyma ucznia)<sup>1</sup>

*Nikt słuchając wykładów Autora „Miłości i odpowiedzialności” lub czytając jego dzieła [...] nie mógł się oprzeć przemożnemu naporowi żywego świadectwa, składanego przezeń godności osoby. Urzeczenie osobą, jej godnością, oraz troska o fascynowanie nią innych stanowiły duszę tego świadectwa.*

**Jak uprawiać etykę?**

Wciąż stawia mi ktoś to pytanie. Stawiam je wówczas również samemu sobie. Zawsze też wtedy myślę, jak by pytającemu o to odpowiedział sam Karol Wojtyła, mój Mistrz.

Sądzę, że jego odpowiedź, samorzutna i najkrótsza, ale też przede wszystkim do samego siebie skierowana, byłaby chyba taka: Tak, jak czynił to On, Bóg-Człowiek.

Jak uczynił to zwłaszcza w czasie ostatniej wieczerzy wobec uczniów, kiedy to skierował całe ich spojrzenie – poprzez siebie – w stronę Boga, ich Ojca. I zaraz potem rzucił się im do stóp, i umywał je, by gest ten bezsłownie skomentować: **Zobaczcie, k i m j e s t e ś c i e**, skoro dziećmi takiego Ojca jesteście!

Lub jak uczynił to w czasie rozmowy z Piłatem: kiedy to – nieustraszony groźbą śmierci krzyżowej – uroczyście oświadczył, iż po to się urodził i po to przyszedł na świat, by dać świadectwo prawdzie, i że człowiek odnajduje siebie i spełnia sam siebie wtedy tylko, gdy wybiera posłuszeństwo prawdzie. W czasie tej rozmowy ani razu nie pada z ust Boga-Człowieka słowo: Bóg. Mowa jest tu tylko o Prawdzie. Za to z ust samego Piłata padną na koniec zaskakujące słowa, słowa różne od wszystkich, jakich by można się było spodziewać po jego wyznaniu niewiary w prawdę: **E c c e h o m o ! O t o C z ł o w i e k !**

Samemu zaś rozmówcy, pytającemu o to, jak uprawiać etykę, odpowiedziałby mój Mistrz zapewne tak oto: trzeba człowiekowi odsłonić człowieka w człowieku i pomóc mu wybrać prawdę o jego wielkości. I zacząłby chyba od propozycji doświadczenia samego siebie, jak czynił to Sokrates, przypominając napis na obelisku świątyni w Delfach: „Poznaj samego siebie!” Poznaj –

<sup>1</sup> Wykład przedstawiony w ramach sympozjum: „Etica e poetica, la concezione della persona in Karol Wojtyła”. Z okazji 50. rocznicy kapłaństwa Jego Świątobliwości Jana Pawła II. 19 X 1996 r. Aula Uniwersytetu „Gregorianum”, Rzym.

i wybierz – prawdę o sobie! Nie przestałby jednak przy tym ni chwili bodaj myśleć, że definitywne Słowo prawdy o człowieku wypowie mu dopiero sam Bóg-Człowiek, Jezus Chrystus. Wypowie mu je Słowo, poprzez które sam Ojciec objawi człowiekowi, swemu dziecku, czynem Wcielenia Swego Jednorodzonego Syna, czyli aktem oddania się człowiekowi bez reszty, ile człowiek sam w sobie jest wart, skoro – w oczach samego Boga-Ojca – takiego Daru jest wart, Daru Swego Jednorodzonego Syna, Daru, nad który większego niepodobna pomyśleć.

Ale przecież i On, Jezus Chrystus, Bóg-Człowiek, zacznie dzieło budzenia człowieka w człowieku mówiąc mu – podobnie jak czynił to przedtem Sokrates – o konieczności „powtórnych narodzin”, o konieczności poznania siebie: odnalezienia siebie w prawdzie i wyborze prawdy o sobie. Czyż nie tak było w czasie owej nocnej rozmowy Chrystusa z Nikodemem? „Trzeba ci się na nowo narodzić...”.

Istotnie. Człowieka trzeba spotkać tam, gdzie jest, aby go nie zostawić tam, gdzie jest. Trzeba mu pomóc się odnaleźć, i pomóc mu przez to „urodzić się samemu na nowo”...

„Gratia non tollit naturam sed eam supponit et perficit”.

„Łaska nie przekreśla natury, lecz ją zakłada i udoskonala”.

Oto dlaczego i Karol Wojtyła, etyk, idący tropem Etyka Wszechczasów: Jezusa Chrystusa, staje obok człowieka na jego drodze, proponując mu wgląd w samego siebie. Proponuje mu na tejże drodze spojrzenie na siebie najpierw w oknie własnego czynu. Ale też zaraz podsunie mu drugie okno, okno czynu Boga-Człowieka. Czynu Boga, który z miłości do człowieka decyduje się stać człowiekiem i sam staje przy nim na jego drodze. Czyni to, by odsłonić człowiekowi jego oblicze w całym blasku prawdy o nim, prawdy o jego wielkości. Wszak prawda o nim nie może go nie zafascynować, gdy tylko sam siebie zobaczy w jej blasku. Ale prawda o nim może go także przerazić, wywołać lęk na widok trudu udźwignięcia całego ciężaru swej wielkości. Może go skłaniać do ucieczki. Przed nią, czyli przed samym sobą. „Fascinosum i tremendum” idą w parze. „Nie lękaj się!” – powie mu wtedy Chrystus, jak ongiś powiedział do Piotra.

„Nie lękajcie się!” – powtórzy za Chrystusem Karol Wojtyła: Piotr naszych czasów, do nas, swych współczesnych. Przecież On po to stanął na naszej drodze, aby pomóc nam udźwignąć naszą wielkość. Odtąd ciężar prawdy będzie unosił tego, kto tylko pozwoli Chrystusowi dźwigać go wraz z Nim.

„Non abbiate paura!”

Te słowa mego Mistrza etyki nie przestają brzmieć w mych uszach od chwili, gdy przerwały ciszę modlitewnego skupienia ludzi wypełniających po brzegi plac św. Piotra w Rzymie w dniu inauguracji pontyfikatu Jana Pawła II 22 października 1978 roku. Wszystko, co powiem poniżej, będzie poniekąd jedynie próbą ich nagłośnienia...

## 1. DROGĄ CZŁOWIEKA W STRONĘ CZŁOWIEKA CZŁOWIEK W OKNIE SWEGO CZYNU

Etyka tedy odnajduje samą siebie dopiero wówczas, gdy staje się orędziem o godności osoby. Głównym przeto, jeśli wręcz nie jedynym zadaniem etyka, właściwą jego rolą, jego posłannictwem wobec ludzi jest pozostawanie w służbie tego orędzia. Głoszenie go w sposób najbardziej przekonywający, efektywny. I to jest właściwie wszystko, co mam – w ślad za swym Mistrzem – do powiedzenia na temat tego, jak widzę etykę i jak widzę rolę tego, kto ją uprawia.

Równocześnie zdaję sobie dokładnie sprawę z tego, że właściwy problem zaczyna się gdzie indziej, nieco dalej. Polega on na wskazaniu owego maksymalnie skutecznego sposobu głoszenia orędzia o osobie. Który to sposób jest najodpowiedniejszy, najwłaściwszy, najskuteczniejszy? Jak pouczyć, by poruszyć, „docere per movere”? Oto pytanie!

Czy sposób ów nie polega koniec końców na objawianiu osoby, na ukazaniu jej w całym blasku prawdy o niej? Na ujawnianiu człowiekowi wszelkimi dostępnymi środkami, że w świecie nas otaczającym nie istnieje nic, co byłoby bardziej godne od osoby lub nawet jej równie godne, że osoba to moralny absolut?

Ale oto kolejne pytanie: jak to konkretnie robić? Czy najstosowniejszym środkiem do tego celu jest pisanie rozpraw etycznych, publikowanie podręczników w wysokich nakładach? Nie chciałbym w niczym umniejszać ich społecznej przydatności do wyżej wymienionego celu.

Zauważmy jednak. Jezus Chrystus nie pozostawił po sobie żadnego pisanego słowa. Czy lekceważył słowo? Skądże? Wszak sam jest Słowem, które ciałem się stało, by do końca objawić człowiekowi jego wielkość i poruszyć go do jej wyboru. Po to zstąpi z nieba na ziemię. Lecz po to samo też nie zstąpi z krzyża, choć będzie do tego prowokowany wyzwaniem: Jeśli teraz zstąpisz z krzyża, uwierzemy ci, żeś z nieba zstąpił. On jednak nie zstąpił z krzyża. Czy dlatego, że nie mógł, czy też dlatego, że nie chciał? Dlaczego nie zechciał zstąpić? On milczy. Nie. Nowego cudu wszechmocy nie będzie. Teraz chodzi bowiem o inny cud, największy z możliwych. Naoczny świadek owego bezsłownego czynu uwieczni całą głębię jego wymowy krótkim zapisem: „Et nos credidimus caritati”. Będzie to czyn dobrowolnej rezygnacji z wszechmocy: szczyt objawienia sedna Miłości Miłosiernej. Będzie to apel Miłości do wolności człowieka, apel Miłości rozbijającej się całkowicie z Wszechmocy, apel Miłości objawiającej człowiekowi prawdę o nim samym do końca ... tylko i wyłącznie miłością do końca.

A Sokrates? – by sięgnąć znowu do ludzkiego przykładu mędrca z Aten<sup>2</sup>. Również i on nie pozostawił po sobie żadnego pisanego dzieła. Nie dlatego, że

<sup>2</sup> Por. Th. D e m a n OP, *Chrystus Pan i Sokrates*, Warszawa 1953.



pisać nie umiał lub był leniwy. A mimo to potomność obdarzyła go szacownym imieniem ojca etyki. Skoro jednak nie pisał, to czymże sobie zasłużył ojciec logiki na nie mniej zaszczytny tytuł ojca etyki? Czy nie tym, że kazał Platonowi wracać samotnie do domu, gdy tenże zjawił się nocą w jego celi więziennej, by zapronować swemu Mistrzowi ucieczkę z więzienia. Ucieczkę, czyli zdradę prawdy: ucieczkę przed swą wielkością. Sokrates daje ostatnią szansę uczniowi – i samemu sobie. Zostaje, wybierając śmierć bohatera. Ale Platon, wracając samotnie do domu tej nocy, rodzi człowieka w Platonie. Co więcej, rodzi swą Akademię, w której witać będzie swych przyszłych uczniów słowami: „Diligere veritatem, omnem, et in omnibus”.

Do tego ostatecznego wyboru Sokrates przygotowywał siebie samego – a przy okazji swoich uczniów – przez całe swe życie.

Jacques Maritain w swej *La philosophie morale* nazywa Sokratesa „odkrywcą moralności”. Podkreśla, że to on wskazał na znak równości pomiędzy wrażliwością na godność osoby a wrażliwością moralną w czasie, kiedy wrażliwość moralną nagminnie utożsamiano z wrażliwością na własne szczęście. Nie to jeszcze było jednak powodem uznania go za ojca etyki. Wszak to samo wieścili Ateńczykom także inni, jak choćby dramaturg Sofokles przez usta młodej Greczynki, Antygony, w amfiteatrze u stóp Akropolu. Czy zatem Sokrates nie zarobił sobie na ojcostwo etyki ostatecznie przez to, że cały sens swego życia upatrywał wyłącznie w niestrudzonej służbie odkrywania godności człowieka wśród siebie współczesnych i wzbudzaniu w nich absolutnego dla niej respektu?

nie chodzi o to, by żyć, ale o to, by godnie żyć!

Służbę tę Sokrates nazywał nawet duszpasterzowaniem. I przyrównywał ją do roli akuszerki. Nie można się za nikogo narodzić. Ale można mu w tym pomóc, ułatwiając drugiemu poznanie samego siebie, samopoznanie. Odkrycie siebie w sobie Sokrates uważał za rzecz istotnie rozstrzygającą w kształtowaniu się autentycznej postawy moralnej człowieka. Wykluczał bowiem możliwość, by ktoś mógł zachowywać się w sposób uwłaczający swej godności, gdy tylko ją dostatecznie rozpoznał, gdy tylko poznał samego siebie. Gdyby wówczas ceną jej ocalenia okazała się utrata własnego życia, zapłacenie jej byłoby moralną oczywistością. Sokrates był konsekwentny do ostatka. Spełnił, co głosił. Pokazał on czynem, iż nie chodzi o to, by żyć, lecz o to, by godnie żyć. Jego ostateczna decyzja, decyzja zgody na własną śmierć, ma po dziś dzień odkrywczą i mobilizującą dla wielu moc. Pomaga niejednemu we własnych narodzinach moralnych.

Ale Sokrates, nim jeszcze umarł, akuszerował już w tych narodzinach asystując innym w „samopoznaniu”. Stosował przy tym metodę „per opposita cognoscitur”, tj. metodę kontrastu, pokazując, że ja, ty, on, ona, my... jesteśmy nieprzyrównywalni do czegokolwiek innego w świecie. Kontrast ten pokazywał słowem, niekiedy zaprawionym trzeźwiącą ironią.

Bynajmniej nie kpił z drzew, gdy mówił, że go niewiele interesują. Kpił raczej z tych, którzy jednym tchem, z równą powagą mówili o drzewach i o człowieku, którzy człowieka na równi z wierzbą uznawali za część kosmosu. Posługując się kontrastem wspomaganym ironią, żywił nadzieję na przebudzenie swego rozmówcy, na ozdowieńczy wstrząs odkrycia w sobie godności człowieka, jego „inności” w świecie. Czy kosztem degradacji kosmosu? Bynajmniej! Trudno przecież pomyśleć wspanialsze tło jako kontrast do pokazania dostojności człowieka. Na takim tle człowiek nic nie traci. Owszem, jeszcze zyskuje, skoro nawet do takiego tła porównany okazuje się... niezrównany. Wierzby są piękne i mogą zachwycić. Podobnie jak gwiazdy. Mogą też, a nawet winny – gdy tylko umie się na nie patrzeć! – wyzwalać w nas radość z samego faktu, że są. A przecież wolno pastuszkom ścinać gałązki wierzb i kręcić fujarki, by potem wygrywać na nich melodie, by się bawić. Wolno też, a nawet trzeba karczować wierzby, gdy stają się przeszkodą w zbudowaniu nowej drogi z wioski do wioski lub w skróceniu czy wyprostowaniu drogi starej. Aby ludziom było bliżej do siebie. Rzecz nie do pomyślenia, aby coś podobnego wolno było zrobić z kimkolwiek z ludzi, nawet dla dobra całej ich reszty. Byłby to moralny absurd. Kto w ten sposób chciałby mierzyć swe działanie, dawałby dowód, że pilnie potrzebuje narodzin. Nie ma najmniejszego pojęcia, w czym tkwi istotna wartość całej reszty, której chce „służyć”. Nie widzi, że wartość reszty dostrzega ten dopiero, kto dostrzega i docenia wartość każdego z osobna. Bez wyjątku. Dlatego też morderca jest nieskończenie bardziej pożałowania godny od swej ofiary, nawet gdyby mordował „pro publico bono”. Szczęśliwsza jest ofiara krzywdy od swego krzywdziciela!

Nie wyobrażam sobie, by etyk naszych dni miał lub mógł inaczej od Sokratesa widzieć i próbować wypełniać swe społeczne posłannictwo. Wypełnianie tego posłannictwa może oczywiście przybrać różną postać, również formę pisania podręczników lub monografii etycznych. Rzecz w tym, czym i jak wypełni się zawartość owych podręczników i monografii. Rozstrzygające wydaje się tu jedno: skupienie całej uwagi na ogniskowej moralności, jaką jest jej absolut: o s o b a , j e j g o d n o ść.

Efekt ten osiąga Pascal w *Myślach* prostymi, krótkimi, lapidarnymi formułami lepiej chyba od niejednego potężnego objętościowo podręcznika etyki. „Człowiek jest tylko trzcina, najwątleszą w przyrodzie, ale trzcina myślącą...”

„[...] przestrzenią wszechświat ogarnia mnie i pochłania jak punkt: myślą ja go ogarniam”.

„Wszystkie ciała, strop niebieski, gwiazdy, ziemia i jej królestwa nie mogą się równać wartością z żadną myślą; ona zna to wszystko i siebie, a ciała nic nie znają”.

„Wszystkie ciała i wszystkie umysły razem, i wszystkie ich twory nie są warte najmniejszego drgnienia miłości: jest bowiem z dziedziny nieskończenie wyższej...”.

Niczym żywe echo tych słów brzmiały w mych uszach po dziś dzień słowa Jana Pawła II, wypowiedziane przed dziesięciu laty w auli Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego do ludzi nauki, słowa nieco inne, lecz wyrażające dokładnie te same – Sokratejskie i Pascalowskie z ducha – treści:

„Człowiek jest podmiotem pośród świata przedmiotów dlatego, że jest zdolny poznawczo obiektywizować wszystko, co go otacza. Dlatego, że przez swój umysł zwrócony jest «z natury» ku prawdzie. W prawdzie zawiera się źródło transcendencji człowieka wobec wszechświata, w którym żyje”.

Jest to – w pierwszym niejako rzucie – transcendencja przez prawdę.

„Właśnie poprzez refleksję nad własnym poznaniem człowiek objawia się samemu sobie jako jedyne jestestwo pośród świata, które widzi się «od wewnątrz» związane poznana prawdą – związane, a więc także «zobowiązane» do jej uznania, w razie potrzeby także aktami wolnego wyboru, aktami świadectwa na rzecz prawdy. Jest to uzdolnienie do przekraczania siebie w prawdzie. Poprzez refleksję nad własnym poznaniem człowiek odkrywa, że sposób jego bytowania w świecie jest nie tylko całkowicie r ó ż n y od wszystkiego innego pośród świata, lecz że jest także w y r ó ż n i o n y, nadrzędny wobec wszystkiego innego w jego obrębie. Człowiek zauważa po prostu, że jest osobowym podmiotem, osobą. Staje oko w oko wobec swej godności!”

Trudno teraz tutaj w tej auli Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego nie spróbować przynajmniej przybliżyć całego kontekstu, atmosfery i uroczystej oprawy, jaka towarzyszyła słowom przesłania kierowanego przez Papieża do ludzi nauki. Mówił on:

„Kiedy przemawiam do Was, czcigodni Państwo, mam przed oczyma duszy wszystkie te środowiska, te wspólnoty, w których służba poznaniu – czyli służba Prawdzie – staje się podstawą kształtowania człowieka. Wiemy, że był Ktoś, kto powiedział: «poznacie prawdę, a prawda uczyni was wolnymi» (por. J 8, 32). Te słowa Chrystusa odżywają ze szczególną mocą właśnie tu, w auli uniwersyteckiej [...]. Odżywają, a zarazem znajdują swe naturalne dopełnienie w słowach św. Pawła: «Prawdę czyńcie w miłości» (por. Ef 4, 15). Służąc prawdzie z miłości do prawdy i do tych, którym ją przekazujemy, budujemy wspólnotę ludzi wolnych w prawdzie, tworzymy wspólnotę ludzi zjednoczonych miłością do prawdy i miłością wzajemną w prawdzie, wspólnotę ludzi, dla których miłość prawdy stanowi zasadę jednoczącej ich więzi”.

I dalej:

„Człowiek też musi w imię prawdy o samym sobie przeciwstawić się dwójakiej pokusie: pokusie uczynienia prawdy o sobie poddaną swej wolności oraz pokusie uczynienia siebie poddanym światu rzeczy: musi się oprzeć zarówno pokusie samoubóstwienia, jak i pokusie samourzeczowienia. Wedle wyrażenia autora średniowiecznego: «Positus est in medio homo: nec bestia – nec deus»!

[...] Człowiek już «od początku» nęcony jest pokusą poddania prawdy o sobie władzy swej woli i umieszczenia się przez to «poza dobrem i złem» [...].

Równocześnie człowiek zostaje «od początku» wezwany, aby «czynił sobie ziemię poddaną» (por. Rdz 1, 28), co oczywiście stanowi owoc «naturalny», a zarazem praktyczne «przedłużenie» poznania, czyli «panowania» przez prawdę nad resztą stworzeń. [...] Jednakże «czynić sobie ziemię poddaną» – to znaczy także: nie uczynić siebie samego poddanym ziemi! Nie pozwolić ani poznawczo, ani praktycznie «zredukować» człowieka do rzędu przedmiotów. Zachować podmiotowość osoby w obrębie całej ludzkiej praxis. Zabezpieczyć tę podmiotowość również w ludzkiej zbiorowości: w społeczeństwie, w państwie, przy różnych warsztatach pracy czy choćby nawet zbiorowej rozrywki.

Myślę, że taka jest ostateczna racja i sens tego, co współcześnie nazywa się prawami człowieka. Na gruncie metodycznego poznania, a więc nauki, tu przebiega też linia spotkania z filozofią, w szczególności z etyką – a także poniekąd z teologią<sup>3</sup>.

Czy więc nie tak trzeba dawać wyraz temu, co ma do przekazania etyka, jak czynił to Pascal, pisząc jako filozof swe *Myśli*, i jak czynił to Karol Wojtyła i czyni wciąż Jan Paweł II, filozof, teolog, duszpasterz?

Objawiając osobę osobie, objawiają oni zarazem – jako filozofowie – mistrzostwo w dziedzinie etyki...

Ale nie inne efekty uzyskują właściwymi sobie środkami również poeci, dramaturdzy, literaci. Dlaczegoż by im zatem nie udzielić głosu w wykładzie etyki, dziedzinie, w której koniec końców o jedno tylko chodzi: o objawienie osoby i jej zaafirmowanie do końca wolnym wyborem? Czy twórcy wielkiej literatury nie przejęli po części roli, którą etycy zaniedbali niekiedy z fałszywego wstydu, by przypadkiem nie uchodzić za ... literatów?

Eugeniusz Jewtuszenko powiedział, że poezja to filozofia życia w koncentracji. Oto jak kończy on jeden ze swych wierszy:

„Czym zaczął żyć?

Jeszcze nie zaczął...

Czym kochał?

Chyba nie kochałem...”<sup>4</sup>

Nie zacząłem żyć, jeśli nie zacząłem kochać. Zaczynam żyć dopiero, gdy kochać zaczynam...

Nie to tutaj jest ważne, że w sformułowaniu Jewtuszenki mamy Sokratesa i Pascala w koncentracji. Ważne jest to, że z czymś takim Jewtuszenko

<sup>3</sup> Jan Paweł II, *Jakie są perspektywy tego pokolenia?* Przemówienie wygłoszone do przedstawicieli świata nauki w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w Auli im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego w dniu 9 czerwca 1987 r. „L'Osservatore Romano” 8(1987) nr 5, s. 11-12. Podkreślenia w tekście – T. S.

<sup>4</sup> E. Jewtuszenko, *Wiersze*, Warszawa 1967, s. 11.

zwraca się do współczesnych sobie i jest tam u siebie doskonale rozumiany. Wmawiać zdrowemu człowiekowi, że nie żyje, gdy nie kocha, to istotnie rzecz szokująca. Ale i odkrywczą. Z tego właśnie powodu. Zaiste, taka poezja to etyka w koncentracji. Wiadomo bowiem, o jakiego życia filozofii mówi Jewtuszenko.

Świadomie nie oddziela etyki od poezji św. Franciszek z Asyżu. Biegając po osiedlach Umbrii wprawia w zdumienie mieszkańców wołaniem: „Miłość jest nie kochana!” Do etyki i poezji dodaje jeszcze coś, co jest najważniejsze. Co? Czyn świadka prawdy, czyn budziela człowieka w człowieku. Zaskoczeni jego zachowaniem mieszkańcy skłonni byli wpieryw sądzić, że oszalał. Lecz wnet przyszedł moment otrzeźwienia: a może to nie on, Franciszek, oszalał, lecz my, którzyśmy jego zachowanie za coś szalonego, a swój pełen świętego spokoju bezwład za coś normalnego, wzięli?

Wydaje mi się, że swoje posłannictwo etyk – czy to jako autor, czy to jako wykładowca i pedagog, duszpasterz-budziela – wypełnia, gdy dopuszcza do głosu tych, którzy potrafią w taki oto sposób odkrywać osobę. I gdy sam próbuje to jakoś na swój sposób – także poza salą wykładową i warsztatem pisarskim – robić.

Przykładem takiego rozumienia i spełniania swego posłannictwa był dla mnie – i jest znowu – mój Mistrz etyki. Ucząc etyki i pisząc książki z jej zakresu nie kodyfikował on wyraźnie swej roli etyka. Nikt jednak słuchając wykładów Autora *Miłości i odpowiedzialności* lub czytając jego dzieła, nawet tak niełatwe jak *Osoba i czyn*, nie mógł się oprzeć przemożnemu naporowi żywego świadectwa, składanego przezeń godności osoby. Urzeczona osobą, jej godnością, oraz troska o fascynowanie nią innych stanowiły duszę tego świadectwa.

Nie wszyscy słuchacze wykładów wiedzieli wówczas o unii osobowej etyka Karola Wojtyły i poety Andrzeja Jawienia czy Stanisława Grudy, poety, który wkładał w usta męczennika prawdy, biskupa krakowskiego Stanisława, słowa: „Myślał może Stanisław, nie pomogło słowo, pomoże krew...”. Gdy się jednak o tym dowiadawali, rzadko bywali tym zaskoczeni. Poeta Andrzej Jawień był ciągle obecny w Karolu Wojtyle etyku: wykładowcy i autorze. I nie tylko w wykładowcy i autorze. Lecz nade wszystko w świadku głoszonej prawdy, świadku, który potrzebował języka proroków, którzy – jak Paweł w Atenach – sięgali często do języka wieszczów.

Gdy więc Karol Kardynał Wojtyła, duszpasterz „ziemi trudnego wyzwania”, z bólem zauważa, iż jego rodacy czasu PRL-u zaczynają samych siebie niewolić godząc się na życie w samozakłamaniu, gdy na próby gwałcenia ich sumień przez narzuconych im z zewnątrz komunistycznych rządców pytaniami w rodzaju: „Ile jest 2 + 2 ?” – poczęli z przymrużeniem oka usłużnie im odpowiadać pytaniem: „A ile sobie pan dyrektor życzy?”, a nawet chętnie się tym swoim – godnym ubolewania – cwaniactwem („polska rzodkiewka”),



wówczas Autor *Osoby i czynu* rzuci w stronę wykrzywających swe sumienia Polaków pełne gorczy pytanie: „Czyż może historia płynąć przeciwko prądowi sumień?”

Tak, może. Ale czy wolno komukolwiek kiedykolwiek na to się zgodzić, skoro zgoda na samozakłamanie to zgoda na samozniewolenie, to hołd złożony przez wolność przemocy, to samobójstwo wolności, to staczanie się człowieka w stronę moralnej śmierci? Wybierz prawdę! Jedynie wybierając prawdę wybierasz wolność. Jedynie prawda wyzwala. Utworowi, w którym Kardynał Wojtyła tak mocno przestrzegł i upomniał swych rodaków, dał tytuł: *Myśląc Ojczyzna...*

Tak oto ten jeden jeszcze przypadek unii duszpasterza i poety w filozofie-etyku nie jest więc wcale aż tak przypadkowy. To nieprzypadkowy przypadek...

Są osoby, które mi wyznały, iż ukształtował je w całym ich duchowym profilu jeden jedyny werset Karola Wojtyły, wzięty z jego poematu o nie mniej wymownym tytule *Narodziny wyznawców*:

„Bo jeśli prawda jest we mnie, musi wybuchnąć. Nie mogę jej odepchnąć, bo bym odepchnął sam siebie”.

Bo bym odepchnął sam siebie...

Filozof Wojtyła nie powie tu: odepchnąłbym samego siebie jako „auto-transcendencję wolności w prawdzie”, chociaż gdzie indziej zauważy, iż określenie to najdobitniej i najbardziej precyzyjnie oddaje istotę człowieka jako bytu osobowego. Powie o nim: „to drugie imię osoby”.

Dlaczego więc rezygnuje z tego określenia? Chyba dlatego, że – jako duszpasterz zatroskany o człowieka – widzi prostsze i daleko skuteczniejsze od języka filozofów sposoby objawiania człowieka człowiekowi, zarówno jego wielkości, jak i sedna jego dramatu: dramatu sprzeniewierzenia się prawdzie. Wybiera więc możliwie najcelniejsze sposoby fascynowania człowieka prawdą o jego wielkości i niepokojenia dramatem jej odrzucenia...

Bo jeśli prawda jest we mnie, musi wybuchnąć.

Nie wolno mi jej odepchnąć, bo bym odepchnął sam siebie.

A jeśli ją odepchnął?

## 2. W STRONĘ CZŁOWIEKA DROGĄ BOGA-CZŁOWIEKA CZŁOWIEK W OKNIE CZYNU BOGA-CZŁOWIEKA

Oto dlaczego poszukiwanie najbardziej skutecznego sposobu odkrycia godności osoby ludzkiej, i jej ocalenia, nie może etyka nie zaprowadzić do chrześcijaństwa, do spotkania z samym Chrystusem, i nie może nie wzbudzić w nim pragnienia prowadzenia do Niego innych. Z zamiarem skłonienia ich do spojrzenia na własną osobę z perspektywy czynu Wcielającego się Boga:

Verbum Caro, Deus Homo. Gdyby więc nawet chrześcijaństwo uznać za wielki mit, jak chcą niektórzy, nie można by mimo to odmówić mu jego odkrywczej i niepokojącej godnością człowieka mocy.

Chcemy tego dowodów? Mamy je nie tylko w Polsce: „chrześcijanie niewierzący”!<sup>5</sup> Sami sobie tę nazwę wymyślili. Kto nie słyszał owego namiętnego apelu jednego z nich do teologów katolickich, by nie ulegali pokusie „świeckiego humanizmu” i nie zabierali przez to ludzkiej kulturze jedynej szansy pozostania na... ludzkim poziomie? Trzeba przejść siebie, by pozostać... sobą!

Już wyżej podkreśliłem, że wartość ludzkiej społeczności dostrzega się dopiero wówczas, gdy widzi się i docenia wartość każdego człowieka z osobna. **K a ż d e g o . . . z o s o b n a !**

„A On postawił przed nimi Dziecko”...

„Kto przyjmuje j e d n e g o z tych moich Najmniejszych, ten przyjmuje M n i e”!

Tu właśnie jawi się chrześcijaństwo z właściwą mu perspektywą spoglądania na osobę, tu tkwi chrześcijaństwa dogłębnie odkrywczą – i zbawczą zarazem – moc.

Ale etykowi, który jest chrześcijaninem, nie wolno nigdy przeoczyć, jak bardzo ta perspektywa leży na linii naturalnych przeczuć moralnych ludzi wszystkich epok<sup>6</sup>. Wartość każdego z... osobna. Czy nie tutaj tkwią korzenie polskiego słowa „osoba” i tegoż słowa najistotniejszy rdzeń znaczeniowy? I czy nie od tej strony dopiero odsłaniają się nam najgłębsze korzenie osobowej godności ludzkiego indywiduum – pomimo całej jego tajemniczości? Człowiek, każdy z osobna, to **w y j ą t e k p o ś r ó d w y j ą t k ó w**.

Istotnie, trzeba już sporo wiedzieć o osobie, aby szukać dla niej miejsca na parnacie tego widzialnego świata. Wszystkie wyniki sondaży czynionych przez filozofów, niezależnie od tego, z jakich obszarów osoby pochodzą pobrane przez nich „próby”, jednoznacznie prowadzą na ten szczyt: „Persona est aliquid perfectissimum in entibus”. A przecież – mimo całej doniosłości tego rodzaju badania osoby – właściwe jej odkrycie leży poza jego obrębem, powyżej granicy wszystkiego, co porównywalne i dlatego sprowadzalne do wspól-

<sup>5</sup> Por. M. Przełęcki, *Chrześcijaństwo niewierzących*, „Więź” 1969, nr 6; por. tegoż autora, *Wezwanie do samozatraty*, „Więź” 1973, nr 12; por. również T. Styczeń, *O wezwaniu do – samozatraty w – miłości*, „Więź” 1974, nr 17, s. 47-52. Jest to krytyczna próba kontynuowania rozważań etycznych podjętych przez Mariana Przełęckiego, określającego siebie samego mianem „niewierzącego chrześcijanina”.

<sup>6</sup> Wystarczy tu tylko przypomnieć pełne zadumy nad niezwykłością człowieka wołanie starogreckiego dramaturga Menandra z jego utworu *Misanthropos (Odludek)*:

Jakże czarującą istotą jest człowiek, gdy jest człowiekiem! Zwłaszcza, gdy je zestawić – poprzez kontrast – z wołaniem, które daje wyraz tragicznym możliwościom tkwiącym w człowieku, wołaniem, które uwieczniono w postaci napisu wrytego na Bloku Śmierci w Oświęcimiu:

Homo homini... Człowiek człowiekowi zgotował ten los!

nego mianownika. Osobę bowiem odkrywamy nie tylko wtedy, gdy zauważamy, że jest nieprzysłowna do czegokolwiek innego w tym świecie, lecz zarazem wtedy, gdy zauważamy, że każda z nich jest na swój sposób również do żadnej innej nieprzysłowna, że jest inaczej, że jest właśnie... osobno. Że jest właśnie wyjątkiem.

Osobność tę ukazuje poniekąd jedyne dla każdej osoby oblicze, zdradzające jej niepowtarzalność, nieporównywalność... Czy zauważamy jednak, że musimy się tu ciągle posługiwać językiem negacji? Cóż bowiem i jak moglibyśmy tu pozytywnego pomyśleć i powiedzieć? Możemy co najwyżej patrzeć na twarz drugiego. I... domyślać się poza nią niedostępnego nam wewnętrznego krajobrazu. Bo nawet twarz krajobraz ten bardziej osłania niż odsłania. Stąd poeta zauważy:

„Nigdy nie przejrzy nawet kochający  
waszej, o byty bezkresne, zasłony,  
bo któż potrafi czytać w jaśniejącej  
twarzy, przed którą pierzcha wzrok olśniony”<sup>7</sup>.

Oto dlaczego osoby niepodobna odkryć do końca myślą operującą zrodzonymi z porównań pojęciami ogólnymi. Oto dlaczego nie można jej wyrazić tym bardziej językiem, w którym nazwy, a nawet imiona własne, skazane są na pełnienie funkcji generalizujących. Trzeba by nam tyle różnych imion, ile jest osobowych istnień, ile osobnych istnień, ile różnych „z osobna” osób zjawiało się, zjawia i zjawi na tym świecie. I trzeba, by imiona te nie tylko zewnętrznie były „naklejane” – niczym etykiety – na osoby, ale żeby wyrażały, odsłaniały i wypowiadały ową jedyność i niepowtarzalność każdej z osobna. Innego zatem – niż ludzkie – poznanie by trzeba, by odkryć osobę, odsłonić ją „bez reszty”. Innego – niż ludzkie – słowa by trzeba, by osobę „bez reszty” wysłowić, wypowiedzieć. Czyjego?

W każdym razie, jeśli osoba jest poza granicą tego, co dostępne myśli i wyrażalne językiem, to we wszelkich próbach odkrywania osoby trzeba bezwzględnie uświadomić sobie – i innym – wagę tego doniosłego momentu, w którym staje się w obliczu niedostępnego i niewyrażalnego w osobie. Na progu jej tajemnicy. Wobec zasłony. *Ineffabilis! Niewyrażalna!*

Tym jednym słowem ostrzeżenia mówi św. Tomasz z Akwinu więcej o osobie niż wszystkie antropologie filozoficzne razem wzięte – pokartezjańskich egologii nie wyłączając! – usiłujące jakoś przecież „zdefiniować” osobę.

<sup>7</sup> „Der Liebende wird selber nie genug  
Euch überschauen, unbegrenzte Wesen;  
denn wer vermag ein Angesicht zu lesen,  
an dem sein Blick sich schimmernd überschlug”.

R. M. Rilke, *Verstreute Gedichte*

Geniusz Tomasza polega na tym, że jest tego świadom. Świadom doniosłości, a zarazem pułapu możliwości wiedzy o osobie, jaką daje jakaś jej „definicja”, i świadom granicy, od której trzeba z wszelkich definicji rezygnować. U takiego mistrza warto się uczyć! Etyki także! I jak jej uczyć!

Ineffabilis! Niewyrażalna! To wezwanie do milczenia na temat osoby w obliczu jej tajemnicy. Jakże jednak... odkrywczym jest to wezwanie! „Baczność! Osoba!” Nie miejsce już na słowa. Na co więc jest jeszcze miejsce?

Tego, kogo nie jesteśmy w stanie poznać „bez reszty”, poznajemy wszak na tyle, by dostrzec potrzebę – i możliwość – zaafirmowania go „bez reszty”. W tym przypadku jednak „bez reszty” znaczy „w całości”, tj. wraz z jego tajemnicą. A przecież właśnie wtedy wzmagają się w nas potrzeba przejrzania tej tajemnicy do dna. Zwłaszcza gdy powinność afirmowania osoby staje się potrzebą zaafirmowania jej jedyności w niej samej i dla niej samej, potrzebą serca. Nie czysto poznawcza to pasja, ciekawość. Tego przejrzania potrzebuje miłujący, by jego miłość mogła się stać na miarę jej adresata! By to pojąć, wystarczy przypomnieć sobie ów osobliwy rodzaj tęsknoty przeogromnej, która nas ogarnia w momencie oglądania twarzą w twarz niewypowiedzianej bliskiej osoby, w chwili, gdy dane nam jest patrzeć jej wprost w oczy. Kiedyż bardziej czujemy, że innego facies ad faciem nam potrzeba, by spotkania nasze stały się spotkaniami na miarę pojemności naszego serca?

Boecjusz wypowiedział kapitalną prawdę o osobie, określając ją jako „rationalis naturae individua substantia”, a Pascal nazywając ją „trzcina myślicą”, Kant umieszczając osobę w „królestwie celów w osobnych”, Scheler widząc w niej „podmiot stanowiący ognisko odniesień do wartości i ich przeżywania”... Wszystkie te próby, i szereg innych tego typu, to ważne pozycje w „odkrywaniu” osoby. Ale wszystkie one, odkrywając osobę, równocześnie „zrównują” poszczególną osobę do wszystkich pozostałych. Zamazują im twarze, odbierają im właśnie ich „osobność”, ich wyjątkowość, stawiając w rzędzie innych, niczym egzemplarz tego samego nakładu książki. Gdzież tu jest jeszcze ta oto osoba? Ta przed nami tu stojąca? I gdzie zdobyć moc, od kogo przenikliwości pożyczyć, aby się przebić poprzez zasłonę do jej „nagiej” jedyności. Aby ułatwić miłości zaafirmowanie osoby na jej miarę. To miłość przynagla do zdjęcia zasłony, czyli welonu. To ona potrzebuje objawienia osoby, jej rewelacji. „Quis ostendit nobis bona?” – to pytanie „niespokojnego serca”.

W kontekście doświadczenia tej oto potrzeby i niemocy jej zaspokojenia jakże niewiarygodnie wiarygodnie brzmi już język starotestamentowego Objawienia. Mowa tam o „wezwanym każdego po imieniu”, o wezwaniu, które stwarza obdarzając jedynym imieniem od wieków przez Miłość „pomyślanym”. Lub dodając do imienia od wieków przez Miłość „myślanego” wymiary rzeczywistego istnienia. Jestem dla Kogoś bez reszty znany i bez reszty kochany, skoro... jestem. Inaczej nie byłoby mnie! „Nie ma mnie – bez Cie-

b i e!” – zawoła dlatego św. Augustyn. Jesteś dla Kogoś bez reszty znany i bez reszty kochany, skoro jesteś! Inaczej nie byłoby c i e b i e! Jesteśmy bez reszty dla Kogoś... znani i kochani, nawet jeśli sami siebie bez reszty nie znamy...

Jest tedy też Ktoś, czym widzeniem i czyją miłością moglibyśmy dotknąć drugiego wprost: „myślą i sercem”, Ktoś, w którego „blasku” można by zobaczyć osobę bez osłony, gdyby nam zechciał tego blasku użyzyć... *In lumine tuo videbimus lumen!*

Objawienie chrześcijańskie mówi o tej nadziei jako o nadziei spełnionej. Spełnionej przez wydarzenie, jakim jest właśnie wcielenie Słowa Bożego.

Nadzieja ta jednak zostaje spełniona nieoczekiwanie inaczej... Mrok tajemnicy osłaniającej osobność osoby ma nadal pozostać, aż skończy się czas próby dla miłości. Aby mogło być miejsce na miłość najtrudniejszą, lecz i najpiękniejszą zarazem: na miłość w postaci wiary i zaufania. Słowo Boże przychodząc w postaci człowieka do „każdego człowieka na ten świat przychodzącego”, chociaż nie odsłania niczyjej „osobności” do końca, objawia mu godność każdego z osobna do niesłychanych wprost rozmiarów. Wcielenie – to pokazowa lekcja na temat tego, ile jest wart sam w sobie każdy człowiek z osobna, skoro – pomimo grzechu! – taką wartość przedstawia dla Boga. Jest wart... wcielenia: wydarzenia Daru nad Dary. Miarą wartości człowieka, jego godności, jest czyn, na który Bóg-Ojciec był gotów wobec człowieka: „posłać swego Jednorodzonego Syna na świat”, „na okup za nas”. Dać nam Go w Darze to oddać nam Samego Siebie w darze. Ten Dar to przez samego Boga podjęta „ostateczna próba” przekonania każdego z osobna, ile jest wart. Wszak poprzez ten Dar wyznaje On każdemu z nas: bez ciebie cały ten świat nie byłby dla mnie tym samym światem. Czy potrafimy inaczej pojąć Jego słowa: „Daj mi pić!” – wypowiedziane przy studni Jakuba?

Tak więc fakt i akt tego Daru to rzecz zdumiewająca. Ale czyż bardziej nie olśniewa to, dlaczego Bóg to czyni: *Cur Deus homo?* Czyż nie po to, by człowiekowi objawić człowieka do końca i pociągnąć go ku sobie darem miłości do niego?

*Propter nos descendit de coelis!*

Słowo Wcielone u stóp niewiernego ucznia ma pod tym względem wymowę „lekcji pogładowej”, wymowę uniwersalnego, a zarazem najbardziej zindywidualizowanego symbolu: Bogu chodzi o położenie wszystkiego „u stóp” każdej z poszczególna osoby, z Samym Sobą włącznie, by w ten sposób wywołać w niej błysk olśnienia: zobacz, kim jesteś, skoro jesteś tym oto dla mnie! Po to „Słowo ciałem się stało i zamieszkało wśród nas”.

Słowa te to skrót Ewangelii: radosnej wieści o spotkaniu Boga z każdym z osobna, wieści o spotkaniu objawiającym osobie osobę. Ewangelia jest w całości tymi spotkaniami wypełniona. Każde z nich tchnie jedynością, *sui generis* wyłącznością. Każdemu z osobna wyznaje Bóg w Słowie Wcielonym swą – za każdym razem inaczej – jedyną w swym rodzaju nieskończoną

miłość. Każde spotkanie w Ewangelii, nie tracąc nic ze swej jedyności, jest zarazem paradygmatem spełnionej nadziei każdego człowieka: moje spotkanie z Nim też jest takie, jedyne, „osobne”. I nie może być inne! Każde jest jedyne. Każde też jest zapowiedzią spotkania bez zasłony, facies ad faciem, spotkania w Odwiecznej *Communio Personarum*. Dziś jeszcze będziesz ze Mną w raju.

Jak więc ma etyk głosić orędzie o godności osoby dzisiaj? Jeśli etyka to orędzie o godności osoby i jeśli etyk ma być tego orędzia głosicielem, zatroskanym o maksymalną skuteczność swego posłannictwa dla innych, to nie może nie zwrócić się on sam i nie próbować odsyłać wszystkich innych do „Etyka wszechczasów”, do Etyka, jakiego dał nam Ojciec w swym Synu Jednorodzonym. Nie może nie skorzystać z tej zupełnie wyjątkowej szansy objawienia osoby, jaką jest Objawienie, stając się z wyboru tegoż Objawienia sługą. Od momentu odkrycia, że Objawienie to objawienie osoby *par excellence*, etyk nie może po prostu nie skorzystać z szansy frapowania swych współczesnych diagnostyczną mocą pytania: *Cur Deus homo? Cur? Dlaczego Bóg człowiekiem?* Pytania o niezrównanej właśnie rewelacyjnej mocy, mocy objawiającej. I mobilizującej zarazem.

Może więc tym właśnie pytaniem należałoby zatytułować podręcznik etyki dla naszych współczesnych?

Urodzony przed wiekami u stóp Mont Blanc w Dolinie Aosty święty, znany jako Anzelm z Canterbury, nie weźmie nam zapewne tego za złe. Będzie sam przez to raczej uhonorowany. Uhonorowany tym, że tytuł, który sam swej rozprawie nadał niegdyś – urzeczony godnością człowieka – promieniuje nadal niegasnącą mocą: objawia osobie osobę światłem objawiającej się w Człowieku: Jezusie Chrystusie z Nazaretu Osoby Słowa Bożego.

Sposoby najlepsze odznaczają się tym, że nie ulegają dezaktualizacji. Nie starzeją się. Są wiecznie na czasie.

Posługiwanie się pytaniem: *Cur Deus homo?*, w celu objawienia człowiekowi jego godności, jest jednym z tych sposobów. Oto dlaczego już w samym wyborze tytułu dla programowej encykliki swego pontyfikatu przez tego właśnie Papieża, w wyborze przez Ojca Świętego Jana Pawła II na jej tytuł tych dwu słów: *Redemptor hominis*, widzę świadomy zamysł mojego Mistrza etyki, by właśnie ten sposób uczynić swym własnym. Wszak słowami tego tytułu bierze on na siebie jako papież, kapłan w służbie Jezusa Chrystusa, Najwyższego Kapłana: Władcy wszystkich, który stał się sługą wszystkich – całe wyzwanie płynące z odpowiedzi na pytanie pytań człowieka, pytanie najkrótsze z możliwych i dla człowieka najważniejsze z możliwych: *Cur Deus homo? Dlaczego Bóg człowiekiem?*

Czy nie to właśnie pozwala nam zrozumieć, dlaczego Ojciec Święty, ilekroć odwiedza mieszkańców danego kraju, zanim ich osobiście spotka i dokona z nimi wymiany spojrzeń twarzą w twarz, całuje najpierw – pomny najwyraź-

niej wydarzenia w Wieczerniku – ślady ich stóp na tej ziemi, po której drogach co dnia stąpają?

Wszak niosą oni – na wszystkich tych drogach wraz z sobą – „ukrytego Boga” w sobie! Wszak z chwilą Wcielenia drogi ludzi stały się drogami kołającego wciąż do bramy ich wolności Boga-Człowieka. Odtąd więc droga każdego człowieka nie może się nie stać w szczególny sposób drogą Kościoła Chrystusowego, o ile ma on pozostać Jego Kościołem.

Człowiek jest drogą Kościoła – powie dlatego w swej encyklice *Redemptor hominis*, encyklice-programie swej posługi papieskiej Jan Paweł II, Papież Karol Wojtyła.

I to, co w niej mówi, zamienia dzień pod dniem w rzeczywistość czynu i ukazuje niestrudzenie każdym swym krokiem na wszystkich drogach ludzi współczesnego świata: objawia człowiekowi człowieka, objawia osobie osobę.

I przy tej niejako okazji wznosi się zarazem na wyżyny mistrzostwa w uprawianiu etyki...